Nr. 6. Kraków, Wrzesień 1915. Rok IX.



REDAKCYA
i Administracya:
**Kraków,
ul.
Franciszkańska
L. 3.**

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU VI-go:

Sprawiedliwość boska a wojna.

Był przed wiekami naród, co się słusznie „wybrańcem“ Bożym nazywał. Acz nieliczny, długie wieki przed największemi potęgami się ostawał; na biednych ziemiach osiadły, największe bogactwa posiadał; wysokich nauk nie pielęgnował, a najwyższą mądrość w swych księgach wydał.

„Ten naród światem na wieki zawładnie!“ Takby się rzec zdało, gdy się jego dzieje czyta.

Do jego pysznej stolicy, Jerozolimy, wdarli się obcy najeźdźcy i n a z i e m i ę ten naród o b a l i l i i s y n ó w j e g o; a z miasta „n i e z o s t a ł k a m i e ń n a k a m i e n i u. Milion sto tysięcy ludzi padło w tej siedmiomiesięcznej wojnie... Niedobitki poszły w rozsypkę i nieszczęsnem mianem „bogobójców“ przezwani, tułają się po szerokim świecie i wszędzie stają ludziom na oczach, jako widomy znak karzącej sprawiedliwości Bożej. Z dopustu Bożego zmarniał żydowski naród przez tę nieszczęsną wojnę z Rzymem, „b o n i e p o z n a ł b y ł c z a s u n a w i e d z e n i a s w e g o“.

Słusznie ktoś nazwał historyę „opowieścią zbrodni i kary“. Dzieje ludzkości bowiem, to dzieje ciągłych niemal wojen. W dziejach każdej zaś wojny widny jest palec Boży. Wojną chłoszcze Bóg występki. wojną nagradza też zasługi narodów.

Bóg jest nieskończenie sprawiedliwy. Sprawiedliwości Jego zawsze zadość stać się musi.

Bóg dla okupu winy ludzkości Syna Swego na okropną mękę i śmierć wydał, a od zadośćuczynienia Swej sprawiedliwości nie ustąpił.

W nieubłaganych wyrokach Swoich, On, Stwórca i Pan świata — zawsze dobro nagradza, a zło karze.

Jeżeli człowiek zawini, spada nań kara sprawiedliwego Boga; podobnie, jak ludzka jednostka, zawinić może wobec Boga i cały naród. Naród, bowiem, acz z mnogich jednostek złożony, ale wspólnotą języka, obyczaju, ukształcenia ducha, społecznego dorobku od innych narodów wyodrębniony, jest, jakby osobą zbiorową. Rząd i prawo każdego narodu jest tem, czem sumienie w człowieku; a owe dążności i uchwały, wypowiadane na różnych zgromadzeniach, radach, związkach i t. p., to tosamo, co i te zachcianki i postanowienia, które każda dusza ludzka roi. A jak świadomość i wola człowieka, wedle tego, czy za prawem, czy przeciw prawu Bożemu idzie — o dobru i złem stanowi, tak i postępek rządu narodu, z woli ludu dokonany, zasługą lub grzechem wobec Boga być może.

Narody grzeszą; a grzeszą tak, jak człowiek-jednostka.

Grzeszą pychą, gdy zaślepione w swej mocy kuszą się o panowanie nad innymi i gwałt im zadają; grzeszą chciwością, gdy niepomne ciężkiej doli innych ludów dążą do opanowania wszelakiego dobra na ziemi i niszczą je wyzyskiem; grzeszą zmysłowością, gdy schlebiając ludzkim namiętnościom wydają swywolne prawa i występków nie karzą i t. d. Jak człowiek, tak i naród cały dobrze lub źle czyni.

Jeżeli człowiek zgrzeszy, zsyła Bóg nań karę.

Tę karę ponieść musi winowajca w tem, lub przyszłem życiu. Jeżeli cały naród zgrzeszy, równie ponieść musi karę. Naród jednak nie zna pośmiertnego żywota, tak jak człowiek. Nieunikniony wyrok sprawiedliwości Bożej za grzechy ponieść zatem musi na ziemi.

Pismo św. mówi: *Omierzła jest pycha przed Bogiem i przed ludźmi i obrzydliwa wszelka niesprawiedliwość narodów. Królestwo bywa przenoszone od narodu do narodu dla sprawiedliwości i krzywd i potwarzy i rozmaitych zdrad.* (Ekklez. 10, 7).

Tak Bóg karze narody. Przenosi *królestwo od narodu do narodu*. A dzieje się to najczęściej przez wojnę.

Doczesną karą człowieka za grzechy bywa: choroba, nędza, utrata drogich sercu osób, śmierć jego samego i t. p.

Wojna, to kara za grzechy dla narodów. Wszak niesie ona i śmierć i nędzę, kalectwa i pomory, niewolę przemocy i zupełną zagładę państw i społeczeństw.

Tak było i będzie zawsze, bo Bóg był i będzie nieodmiennie sprawiedliwym. Przez wojnę upadają narody grzeszne, a podnoszą się cnotliwe. Tak chce sprawiedliwość Boska.

Upadła Judea, bo sprzeniewierzyła się swemu Boskiemu posłannictwu. Zagarnęli ją Rzymianie, przedstawiciele poszanowania prawa, ofiarnej miłości ojczyzny i surowości obyczajów. Ale i ci światowładni Rzymianie upadli; gdy się rozprzęgła u nich obyczajność, a szał używania osłabił rycerską tężyznę, gdy pychą przejęci uciskać i gładzić podbite ludy poczęli, popadli w odmęt krwawych wojen i stali się służebnikami Germanów, którymi tak gardzili. Wieki średnie, okrwawione ciągłemi wojnami różnych ludów, są najjawniejszym przykładem owego „*przenoszenia królestwa od narodu do narodu*“ — w miarę win i zasług. — Potężną była Polska; z przemożnymi wrogami zawsze zwycięskie staczała boje; osłabł jednak jej oręż, gdy się duch w narodzie zepsuł. Jej dziedzinami wzmogły się ościenne mocarstwa.

Te mocarstwa stanęły teraz do krwawej rozprawy ze sobą.

Pełnią się wyroki sprawiedliwości Boskiej. Czekajmy!

— Sprawiedliwość Boska zawsze zwycięża i „*królestwo bywa przenoszone od narodu do narodu dla sprawiedliwości i krzywd i potwarzy i rozmaitych zdrad*“.

Nowe wezwanie Papieża do pokoju.

Z początkiem miesiąca sierpnia b. r. obchodziły wielkie mocarstwa Europy rocznicę wybuchu wojny. Rok bowiem już minął, jak między wielkiemi państwami Europy istnieje stan wojenny i toczy się krwawa, niewidziana w dziejach Europy, wielka wojna. Lecz jakkolwiek toczy się już rok cały, to przecież nie przyszło jeszcze do ostatecznego rozstrzygnięcia. Na wielkich polach bitew toczą się jeszcze ciągle tytaniczne zapasy pomiędzy milionowemi armiami.

W rocznicę wybuchu wojen wypowiedzieli zwierzchnicy państw, cesarze, królowie, ministrowie i dyplomaci wezwanie do swoich ludów, ażeby nie ustawać w prowadzeniu wojny, lecz prowadzić ją aż do zwycięstwa.

Tylko z wyżyny Watykańskiej odmienne rozległo się wołanie! Bo i Ojciec św. Benedykt XV. ogłosił dnia 28. lipca b. r. pismo, skierowane do ludów prowadzących wojnę i do ich zwierzchników, w którem to piśmie gorąco wzywa do pokoju. Wezwanie Ojca św. rozeszło się po całym świecie i wywarło wszędzie głębokie wrażenie. Papież wspomina w swojem orędziu o opłakanych skutkach wojny, o strasznym krwi rozlewie, o ruinach i zgliszczach, o łzach sierót i wdów, a potem tak dalej pisze:

„W świętem imieniu Boga naszego, niebieskiego Ojca i Pana, w imieniu błogosławionej Krwi Jezusa, która stanowiła cenę zbawienia ludzkości, zaklinamy Was, którzyście przez Opatrzność Bożą ustanowieni zostali do rządzenia narodami, prowadzącymi wojnę, byście ostatecznie kres położyli temu strasznemu mordowaniu, które już od roku hańbi Europę. Krew przelana na lądzie i morzu, to krew braterska. Najpiękniejsze okolice Europy, tego ogrodu światowego, są zapełnione zwłokami i ruinami. Przed Bogiem i ludźmi ponosicie straszną odpowiedzialność za pokój i wojnę. Wysłuchajcie naszej prośby, słuchajcie ojcowskiego głosu Namiestnika wiecznego i najwyższego Sędziego, gdyż Jemu będziecie musieli zdać rachunek zarówno z działalności publicznej, jak i za wasze czyny prywatne“.

Ojciec św. apeluje zarazem do panujących, ażeby ludom wymierzyli sprawiedliwość, a tem samem usunie się przyczyny wojen. I tak o tem mówi:

„Wspomnijcie, że narody nie umierają. Jeżeli narody są poniżane i prześladowane, wtenczas drżąc, znoszą nałożone im jarzmo i przygotowują się do wyswobodzenia, przekazując z pokolenia na pokolenie smutny spadek nienawiści i chęć zemsty. Dlaczegóż więc niema się już obecnie objektywnie i sumiennie rozważyć prawa i dążenia sprawiedliwe ludów“.

Ojciec św. wzywa panujących, by wyciągnęli rękę do zgody i zaznacza, że nie przestaje błagać Wszechmocnego o pokój.

Zachęca też wiernych, ażeby nie przestawali prosić Boga o rychły pokój.

Wezwanie Ojca św. nie odniosło jeszcze dotychczas pożądanego skutku, ale bądźmy przekonani, że nie będzie ono bez wpływu na dalsze losy wojny.

* * *

Idąc za wskazaniami Ojca św. Benedykta XV., wystosował też Arcypasterz dyecezyi krakowskiej Książę-Biskup Sapieha dnia 2-go sierpnia b. r. pismo do Duchowieństwa i wiernych dyecezyi krakowskiej, w którem zachęcał gorąco wszystkich, ażeby modlili się gorąco o rychły pokój. W tym celu polecił przed uroczystością Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny odprawiać przez trzy dni nabożeństwa błagalne. Zachęcał zarazem do zchowania przez te trzy dni ścisłego postu i do składania ofiar na rzecz dotkniętych klęską wojny. — Kto wypełnił te warunki i przyjął Komunię św., mógł zyskać odpust zupełny.

Z pociechą wielką trzeba przyznać, że wierni poszli za tem arcypasterskiem wezwaniem i tłumnie garnęli się do świątyń Pańskich.

Ufajmy więc w miłosierdzie Boże! Wierzmy silnie, że Bóg jest nad nami, a w ręku Jego losy nasze i On w miłosierdziu Swem nieskończonem raczy spojrzeć miłościwie na nas.

O miejscu i czasie narodzenia Najśw. Panny Maryi.

Według obliczeń uczonego Baroniusza, Najświętsza Marya Panna przyszła na świat dwudziestego drugiego roku panowania cesarza Augusta, czyli piętnaście lat przed narodzeniem Chrystusa Pana. Powszechne i stare, bo pierwszych wieków chrześcijaństwa sięgające podanie niesie, że Matka Boża narodziła się, według porządku dni i nazwy miesięcy kalendarza kościelnego, dnia ósmego, miesiąca września.

Opowiadają stare wieści, iż wkrótce po Wniebowzięciu Najśw. Maryi Panny, kilku Jej szczególnych czcicieli udało się było na puszczę, by tam wieść żywot bogomyślny i pokutny. Przez kilka lat z rzędu, w każdy ósmy dzień września słyszeli oni tam przecudne pienia anielskie; długo nie mogli dociec, coby to miało znaczyć. Pewnego więc razu poczęli gorąco prosić Pana Boga, aby im raczył objawić powód tego cudu — i dowiedzieli się, iż dzieje się to ku uczczeniu pamiątki Narodzenia Najświętszej Panny. Wieść o tem wnet się szeroko rozeszła. „Skoro niebo pamiątką przyjścia na świat Maryi tak się weseli — mówiono — tem radośniej dzień ten czcić winna ziemia, wszak na niej i dla jej dobra to zjawienie się Bożej Rodzicielki nastąpiło. Stąd, tu i ówdzie w ten dzień świętować poczęto. Pobożny ten zwyczaj wnet się rozszedł po świecie. Już w V. wieku święto Narodzenia Najśw .Maryi Panny obchodzi cały Wschód, a w VII. wieku papież Sergiusz I. je zatwierdza i w Rzymie osobną procesyę w tym dniu ustanawia. W wieku XI. uroczystość Narodzenia Najśw. Maryi Panny obchodzi już cały Kościół katolicki.

Co do miejsca narodzenia Matki Bożej, to niema zgody i między dawniejszymi i między nowszymi pisarzami kościelnymi. Jedni utrzymują, że przyszła na świat w Nazarecie, drudzy, iż w małej wiosce, odległej o trzy godziny od tego miasta, zwanej: Sefora, a po łacinie: Diocaesarea; inni wreszcie, iż w samej Jerozolimie.

Utrzymujący, iż Narodzenie Najśw. Panny nastąpiło w Nazarecie, opierają się głównie i prawie jedynie na tem, że tam było Jej mieszkanie, gdy Archanioł Gabryel zwiastował Jej poczęcie Syna Bożego. Tam też wraca Marya z Bożem Dzieciątkiem i św. Oblubieńcem Józefem po tułaczce w Egipcie. To naprowadza wielu na to, iż domek w Nazarecie był dziedzictwem Najśw. Panny, otrzymanem po rodzicach; w tym domku zatem na świat przyjść musiała.

Inni natomiast są zdania, iż wioska Sefora, później przez Rzymian Diocaesareą nazwana, była onym błogosławionym zakątkiem, który wydał światu Matkę Zbawiciela; wnoszą to z tego, że w tem miejscu św. Joachim i św. Anna długo mieszkali i że to była od kilku

pokoleń siedziba ich rodu. — Niema tam jednak żadnego śladu jakiejś pamiątki, któraby na to naprowadzała. Wobec tego zaś, że pierwsi chrześcijanie zwykli byli wszystkie święte miejsca największą czcią i pieczołowitością otaczać, budując wszędzie pamiątkowe kaplice i kościoly — zdanie to niewiele ma uzasadnienia.

Przeciwnie zaś ci, którzy wskazują Jerozolimę, jako miejsce Narodzenia Najśw. Panny, opierają się głównie na tem, iż do czasów św. Jana Damasceńskiego istniał tam kościół, wzniesiony na tem miejscu, gdzie się Matka Boża miała narodzić. Na poparcie tego twierdzenia przytaczają nawet ustęp z kazania tego Świętego, w tymże kościele i właśnie w uroczystość Narodzenia Najświętszej Panny mianego, które ma świadczyć, iż to Narodzenie w Jerozolimie nastąpiło.

Niema więc pośród uczonymi badaczami zupełnej pewności o miejscu Narodzenia Najśw. Panny. Przyczyną tej niepewności jest pokora Bożej Rodzicielki. Ewangeliści bowiem mogli byli wyraźnie wskazać to miejsce. Nie wskazali go jednak, jak i wiele innych szczegółów o życiu Najśw. Panny przemilczeli. Snać z umysłu to uczynili, na prośby pokornej „Służebnicy Pańskiej“.

Przepowiednia.

W roku 1819 przebywał w Wilnie O. Korzeniecki, Dominikanin, kapłan wielkiej świątobliwości i sławny kaznodzieja. Z niezmordowaną gorliwością walczył O. Korzeniecki ze schyzmą; w kazaniach i uczonych pismach zbijał błędy odszczepieńców, a jasno wyprowadzał prawdę katolickiego Kościoła. Ta gorliwość świątobliwego zakonnika obudziła obawę Moskali o całość ich prawosławia. Ojcu Korzenieckiemu zakazano głoszenia kazań, pisania książek, a nawet i spowiadania.

Francuskie pismo „Union franccomtoise“, a za niem nasz „Przegląd Poznański“ (z roku 1855, t. XX, str. 292) przytacza opowiadanie O. Grzegorza Felkierżamba, białoruskiego Jezuity, o następującem zdarzeniu z życia O. Korzenieckiego.

„Owóż jednego razu — opowiada O. Felkierżamb — O. Korzeniecki przyciśnięty smutkiem, otworzył późno wieczór okno swej celi i patrząc w niebo, zaczął wzywać Wielebnego Andrzeja Bobolę, ku któremu od dzieciństwa swojego czuł szczególniejsze nabożeństwo, chociaż Kościół nie był jeszcze tego Męczennika na ołtarzach postawił. „O wielebny Andrzeju“ — mówił — „wiele już lat przeszło, jak przepowiedziałeś wskrzeszenie Polski! Kiedyż się ziści twoje proroctwo?“

„Była już późna noc... Ojciec Korzeniecki, skończywszy modlitwę zamknął okno i chciał iść spać; aliści, skoro się obrócił, ujrzał na środku celi poważną postać męską, w stroju Jezuity. Ta postać ozwała się:

„Stawiam się na twe żądanie, Ojcze Korzeniecki. Jestem Andrzej Bobola. Otwórz jeszcze raz okno, a obaczysz dziwy“.

Chociaż nieco przestraszony, uczynił Dominikanin, co mu było rozkazane i z wielkiem zdziwieniem ujrzał przez okno nie ciasny ogródek klasztorny, ale niezmierną przestrzeń, ciągnącą się do końca widnokręgu.

„Płaszczyzna, którą masz przed sobą, — mówił dalej wielebny Bobola — to okolica Pińska, wśród której miałem szczęście ponieść męczeństwo dla wiary; przyjrzyj się, a dowiesz się tego, co cię tak żywo obchodzi“.

O. Korzeniecki zwrócił oczy na krajobraz. Tym razem płaszczyzna była pokryta niezliczonemi batalionami Moskali, Turków, Anglików, Francuzów, Niemców i innych ludów, których nie umiał rozróżnić. Wszyscy oni walczyli z bezprzykładną zaciekłością. Zakonnik nie rozumiał, coby to miało znaczyć; przyszedł mu z pomocą Bobola.

„Kiedy — rzekł — ludzie doczekają się takiej wojny, za przywróceniem pokoju nastąpi wskrzeszenie Polski, a ja zostanę uznany jej głównym patronem“.

Uradowany obietnicą Ojciec Korzeniecki zawołał:

„O mój Święty, jakże mogę mieć pewność, że to widzenie nie jest złudzeniem wyobraźni, snem jedynie?“

„Daję ci na to rękę“ — odrzekł Andrzej — widzenie twoje jest prawdziwe i rzeczywiste. Wszystko się tak stanie, jak ci powiedziałem. Udaj się na spoczynek, abyś zaś miał znak mojego pojawienia się, zostawiam ślad mojej dłoni na twoim stoliku“.

To mówiąc położył dłoń na stole i znikł....

O. Korzeniecki nie mógł długo przyjść do siebie; gdy się nieco uspokoił, podziękował z wylaniem Bogu i swojemu kochanemu Świętemu za otrzymaną pociechę; potem zbliżywszy się do stołu, ujrzał wyciśnięty na nim ślad prawej dłoni Męczennika. Pamiątkę tę ucałował stokroć, zanim się spać położył. Nazajutrz ledwie się ocknął, pobiegł zaraz do stołu, by się przekonać, ażali ślad cudowny pozostał, a widząc go równie wyraźnym, jak w nocy, pozbył się wszelkiej wątpliwości. Poczem zwołał do swej celi wszystkich ojców i braci klasztornych i opowiedział im o niesłychanej łasce, jaka go spotkała. Wszyscy wtedy oglądali odcisk dłoni, pozostawiony dla przekonania przez Andrzeja Bobolę.

O. Korzeniecki żył w ścisłej przyjaźni z OO. Jezuitami; to też zaraz uwiadomił o wszystkiem ich kolegium w Połocku, w którem i ja się znajdowałem. Opowiadanie całego zdarzenia słyszałem na własne uszy“....

Tak kończy O. Felkierżamb swoje wspomnienie.

Sto lat upływa od tego zdarzenia, a wszystko dziwnie ziszczać się poczyna. Rozgorzała wojna, w której za broń porwali: „Moskale, Turcy, Anglicy, Francuzi, Niemcy i inne ludy". A cała ta nawała ku rzece Prypeci, pod Pińsk się przewala. Wszystko, jak w owej przepowiedni. Dałby Bóg, by to ta chwila właśnie tym przełomem była. W błogosławionym Andrzeju Boboli uczciłby wtedy polski naród niezawodnie swego wielkiego Patrona.

„Nie mów fałszywego świadectwa, naprzeciw bliźniemu twemu".

Jednym z najpiękniejszych darów, jakim Bóg obdarzył człowieka, jest mowa. Mową różni się człowiek od zwierząt; mową wielbi i chwali swego Stwórcę; mowa służy człowiekowi do dzielenia się swemi myślami z innymi ludźmi, co stanowi dla niego welką przyjemność i pożytek. A jednak ten dar Boga, jakże często jest nadużywany przez ludzi? Jakże często język nasz kala się kłamstwem? Duch święty wyraźnie mówi: „Kłamstwa się strzedz będziesz", a Pan Jezus zaleca nam świadczyć o tem, co jest prawdą, o czem jesteśmy przekonani, że tak jest, a nie inaczej.

Jakkolwiek w ósmem przykazaniu o samem tylko fałszywem świadectwie jest wyraźnie mowa, rzeczą jest pewną, że przykazanie to zabrania wszystkiego, cokolwiek do fałszywego świadectwa prowadzi.

Ósme więc przykazanie zakazuje oprócz fałszywego świadectwa, kłamstwa, obłudy, pochlebstwa, obmowy, potwarzy i plotek, złośliwego posądzania, czyli niesłusznej podejrzliwości i wogóle wszystkiego, co sławie bliźniego, czyli dobremu imieniowi jego uszczerbek przynosi.

Przez fałszywe świadectwo rozumie się zeznanie uczynione w sądzie przeciwko prawdzie, po złożonej przysiędze, której zwykle wymagają od świadków.

Świadkowie wezwani do sądu winni mówić prawdę i nic więcej nad prawdę, bez względu na interes krewnych lub własny. **Fałszywe świadectwo jest grzechem śmiertelnym.** Pismo święte mówi: „Świadek kłamliwy zginie". — I nietylko gniew Boży ściąga na siebie, kto fałszywie świadczy, ale i prawo ludzkie najsurowsze za to ustanawia kary. Dawniej fałszywego świadka karano śmiercią.

Fałszywy świadek obowiązanym jest wynagrodzić krzywdy, jakie wyrządził bliźniemu przez swoje fałszywe świadectwo, jak również odwołać je powinien przed sądem, przed którym fałszywie świadczył.

To, co mówiło się tutaj o fałszywych świadkach stosuje się również do tych, którzy zachęcają kogoś do złożenia fałszywego świadectwa.

Ściśle z fałszywem świadectwem łączy się kłamstwo; kto fałszywie świadczy, tem samem kłamie.

Kłamać jest to mówić wbrew temu, co się myśli i to w celu oszukania bliźniego.

Kłamstwem nie wolno się posługiwać w żadnym wypadku, czy to w żartach, czy to w chęci usłużenia komuś, a tem więcej w celu szkodzenia. Nie wolno więc nigdy kłamać, ani dla uniknięcia śmierci i mąk, ani dla zachowania sobie samemu lub innemu życia, sławy lub majątku, ani nawet dla zapewnienia bliźniemu zbawienia.

Ciężko grzeszy każdy, kto kala mowę swoją kłamstwem. Znieważa Boga, który jest samą prawdą. W księdze Pisma świętego czytamy: „Brzydkością są Panu wargi kłamliwe". Przez kłamstwo stajemy się dziećmi szatana, który jest kłamcą i ojcem kłamstwa.

Przez kłamstwo zrywamy nietylko łączność z Bogiem, ale psujemy porządek między ludźmi. Jakże będzie mógł bowiem wierzyć ktoś mówiącemu, jeżeli ten kłamie? Miejmy więc wstręt do kłamstwa, miłujmy prawdę, jak samego Boga, który jest jej początkiem i źródłem i który sam nazwał się Prawdą.

Obmowa, potwarz i plotka są bardzo do siebie zbliżone. Przez obmowę grzeszy, kto ukryte błędy bliźniego bez potrzeby wyjawia. Mówimy *bez potrzeby*, ponieważ wolno, a nawet jest obowiązkiem wyjawić ukryte błędy bliźniego, skoro wymaga tego jego dobro, lub zapobieżenie większemu złu. Jeśli naprzykład dziecko źle się prowadzi, trzeba powiedzieć o tem rodzicom, aby je ukarali i do poprawy skłonili.

Potwarz wyrządza się, kiedy ktoś przypisuje bliźniemu błędy, których ten nie ma, lub też zwiększa osobiste jego błędy. O tem powinni pamiętać wszyscy, którzy w czasie wojennym z zawiści, zazdrości, a może i głupoty oskarżają, czyli denuncyują przed władzami ludzi niewinnych i zbrodnie im przypisują, których nigdy nie popełnili. — Obmową jak i potwarzą grzeszą ludzie przeciw miłości bliźniego, wyrządzając mu szkodę i ciężką krzywdę. To też Bóg w Piśmie świętem mówi: „Obmówca i dwujęzyczny przeklęty, bo wielu zamiesza pokój mających". Prócz tego potwarz zawsze jest kłamstwem, jest zatem gorszą od obmowy, choć oba te grzechy brzydkie i wstrętne. Pismo święte porównywa potwarcę i obmówcę do węża, który kąsa po cichu i śmierć zadaje.

Grzechem jest nietylko rozszerzać i powtarzać obmowy i potwarze, ale nawet słuchać ich z upodobaniem. „Potwarcą również jest ten, co go ciekawie slucha — mówi św. Bernard —

oba mają czarta niepokoju: u jednego siedzi on na języku, u drugiego w uchu“.

Obmowa i potwarz są głównie dlatego tak ciężkim grzechem, iż trudno, a niekiedy wręcz niepodobna odwołać je, lub naprawić złe wyrządzone.

Plotka nic innego nie jest, jak gadulstwo, skutkiem którego rozgłasza się różne usterki bliźniego. Plotka uważana jest za ciężki grzech, gdyż daje początek kłótniom, nienawiściom, niezgodom i wielu innym nieszczęściom. A więc należy się wystrzegać plotek, które niestety tak są częste, a co gorsza przez wielu uważane są, jako niewinna zabawka dla przepędzenia czasu.

Złośliwe posądzanie czyli niesłuszna podejrzliwość ma miejsce, gdy bez wystarczającego powodu myśli się o kimś źle, lub coś złego mu się przypisuje. Gani złośliwe posądzanie Pan Jezus, mówiąc: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni“. „A cóż widzisz źdźbło w oku brata twego, a belki w oku swojem nie widzisz“.

Z tego wszystkiego mogliśmy się przekonać, jak słuszny jest zakaz, zawarty w ósmem przykazaniu, aby bliźniego na sławie i imieniu nie krzywdzić. Bo zły język, jak mówi Apostoł, Jakób święty, jest, jakoby ogień niszczący, jako zabójcza trucizna, albo zbiór i początek wszystkiego złego. Jak za pomocą jednej zapałki można podpalić całe miasto, tak samo jeden zły język może w całej wiosce, w całem mieście, ba, nawet w całym kraju zasiać nienawiść i niezgodę, pokłócić rodziny, shańbić najzacniejsze osoby.

Na zakończenie dodać należy, że **ósme przykazanie nakazuje każdemu, który skrzywdził bliźniego na sławie lub na imieniu, naprawić wyrządzoną krzywdę.** Bez tego niema odpuszczenia grzechu, tak samo, jak gdy kto nie wynagrodzi krzywdy, uczynionej przez kradzież. I zawsze trzeba mówić prawdę, kiedy trzeba, a kiedy obowiązek i miłość bliźniego na to pozwala, zawsze milczeć.

Poznawszy całą szkaradę fałszywego świadectwa, kłamstwa, obłudy, pochlebstwa, obmowy, potwarzy, plotek, złośliwego posądzania czyli niesłusznej podejrzliwości, — nabierzmy wstrętu do tych grzechów i wyryjmy głęboko w sercach naszych następującą przestrogę Pisma świętego: „Ogródź cierniem uszy twoje, nie słuchaj języka złośliwego, a ustom twoim uczyń drzwi i zamki“.

Wdzięczni uczniowie.

W pewnej wsi w Szwabii wybuchnął nagle pożar w nocy i tameczny dom szkolny zamienił w perzynę. Nauczyciel, nazwiskiem Zeller, ojciec licznej rodziny, stracił całe swoje mienie i nie wiedział, gdzie teraz z dziećmi przytulić głowę. Nazajutrz siedząc w głębokim smutku przed domem sąsiada, gdzie znalazł pomoc w gwałtownej potrzebie, spostrzegł ze zdziwieniem wszystkich swych uczniów, zbliżających się ku niemu. Przynosili oni różne rzeczy: jeden bieliznę, drugi żywność, inny trochę odzienia; — prosili go serdecznie, aby nie martwił się zanadto i raczył przyjąć od nich te drobnostki, dodając, że pięknie prosić będą rodziców, aby nazajutrz mogli znowu przynieść mu co potrzebnego. Łzy rozrzewnienia stanęły w oczach poczciwego człowieka, na widok wdzięczności dobrej młodzieży; a dowód, że uczniowie i uczennice tak go kochają i gorliwie starają się o pomoc w niedoli jego, był słodką, pokrzepiającą serce pociechą dla przygnębionego nieszczęściem. Nakoniec przyszła uboga dziewczynka i dała mu obrazek, mówiąc smutnie: „Panie nauczycielu! Nie mogę cię żadnym upominkiem pocieszyć; matka moja płakała, że nic dla ciebie dać mi nie mogła; bo sami jesteśmy bardzo biedni. Ale pomyślałam sobie na moją pociechę, że weźmiesz chęć za skutek i będziesz mnie kochał tak samo jak inne dzieci. Nie pogardzaj tym obrazkiem, który mi onegdaj darował ksiądz na nauce katechizmu, bo powiedział, że wizerunek wyobrażonego na nim świętego, służy ku pocieszeniu nieszczęśliwych“. Nauczyciel, z wielką ciekawością, wziął obrazek i ujrzał Hioba przedstawionego w nędzy; pod spodem był napis: „Pan dał, Pan wziął; niech będzie imię Pańskie błogosławione!“ — „Tak, kochane dziecię“, rzekł nauczyciel, „i ty wielką mi radość sprawiłaś swym obrazkiem; zupełnie przypada do mojego położenia; i ja modlić się tak będę, jak święty Hiob się modlił i mam nadzieję, że ten sam Ojciec najwyższy, który go wspomógł i mnie wspomoże!“ — Biedny nauczyciel istotnie znalazł wkrótce pomoc, gdyż wdzięczni jego uczniowie i uczennice, tak usilnie i gorąco zanosili prośby za nim do swoich rodziców, że podarunki spływały nań w obfitości i lepiej mu nawet działo się teraz, niżeli wprzód.

O modlitwie.

Modlitwa jest po Sakramentach świętych drugim a niezawodnym środkiem do otrzymania łaski Bożej, kluczem, który niebo otwiera. Dobra modlitwa wszystko wyjednać nam może, sam Pan Jezus zapewnia nas o tem, mówiąc: „Proście a będzie wam dano, szukajcie a znajdziecie, kołaczcie a będzie wam otworzono“. (Łuk. XI, 9). „Zaprawdę wam powiadam, jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię moje, da wam“. (Jan XVI, 23).

Największe nieszczęście, jakie chrześcijanina spotkać może, to zaniedbanie modlitwy. Ważną jest zatem rzeczą poznać, dlaczego i jak

się modlić należy i o co przedewszystkiem Boga prosić winniśmy.

Modlitwa jest każdemu człowiekowi, który przyszedł do użycia rozumu, koniecznie do zbawienia potrzebna, albowiem bezustannie potrzebujemy pomocy Bożej i bez modlitwy nie otrzymamy łask, potrzebnych do wytrwania w dobrem aż do śmierci. Podobni jesteśmy do żebraków, którzy bezustannie muszą wyciągać rękę i błagać przechodniów o miłosierdzie.

Ale nie poprzestając na modlitwie błagalnej, wznosimy serce nasze do Boga, ażeby Go wielbić i dziękować Mu za nieprzeliczone dobrodziejstwa.

Niewdzięczne tylko i źle wychowane dziecko nie dziękuje ojcu za kawałek chleba; ale stokroć gorszy jest człowiek, jeśli nie poczuwa się do wdzięczności względem Boga, tego najlepszego Ojca, od którego odbiera wszystko, czem jest i co posiada.

Sam Pan Jezus podaje nam modlitwę jako obowiązek, mówiąc: „Iż się zawżdy modlić potrzeba, a nie ustawać“. (Łuk. XVIII, 1). „Czuwajcie i módlcie się, byście nie weszli w pokuszenie“. (Marek XIV, 38).

Na każdej prawie stronie Ewangelii znajdujemy powtórzenie tego rozkazu modlitwy: widać, jak wielką wagę przywiązywał do niej Pan Jezus. Ale nie poprzestając na rozkazie, własnym przykładem najwymowniej nas tego naucza. Można śmiało powiedzieć, że całe życie Pana Jezusa było jedną modlitwą. Małe dzieciątko Jezus łzami modli się za nas w żłóbku betleemskim, a pierwszem jego słowem była modlitwa, podnosząca się za ludźmi przed tron Ojca niebieskiego. W Nazaret, w ubogim domku i warsztacie św. Józefa, każdy trud, każde westchnienie młodzieńczego Jezusa było gorącą modlitwą, a później po całodziennej pracy apostolskiej noce przepędzał na samotnej modlitwie. Przed rozpoczęciem gorzkiej swej męki modlił się Jezus w ogrodzie Oliwnym, modlił się głosem wielkim, wisząc na drzewie krzyża. A teraz jeszcze, utajony w Najświętszym Sakramencie na ołtarzach naszych, co czyni Jezus? Oto modli się za nas i wstawia się za nami do Ojca niebieskiego. Za jego przykładem jakże powinniśmy ukochać modlitwę!

Modlitwa stanowiła największą rozkosz i główne zajęcie Świętych Pańskich. Święty Antoni pustelnik całe noce zwykł był spędzać na żarliwej modlitwie, a gdy świtać poczynało, żalił się słońcu, że ukazując się tak szybko, przerywa mu rozmowę z Bogiem. Ilekroć święty Ignacy posłyszał uderzenie godziny, wchodził w siebie i myśl swą do Boga podnosił. Święty Ludwik, król francuski, w wigilię świąt uroczystych noc całą przepędzał w kaplicy przed Najświętszym Sakramentem. Święty Franciszek z Assyżu, słysząc śpiew ptasząt, mawiał do zakonników: „Nasi skrzydlaci braciszkowie od samego świtu wielbią Stwórcę, dziękując Mu za dzień nowy. Módlmyż się i my, nie dając się zawstydzić małym ptaszętom.

Święty Tomasz z Akwinu miał zwyczaj częstszego powtarzania aktów strzelistych; przy stole, przy nauce, wychodząc i wchodząc do pokoju, przechodząc od jednego zajęcia do drugiego, zawsze gorącem westchnieniem zwracał się do Boga. „Proście a będzie wam dano“. Pamiętali na te słowa święci słudzy Pańscy, to też wiele było im danem, ponieważ o wiele prosili. Naśladując ich przykład, w każdej potrzebie uciekajmy się do gorącej modlitwy, bo im więcej Boga prosić będziemy, tem więcej też otrzymamy.

Św. Eustachy, Męczennik.

Dziwna Opatrzność Boża, nawet wśród najboleśniejszych cierpień i doświadczeń, pokazuje się jawnie w życiu św. Eustachego. Poganinem będąc, oddał się rycerskiej służbie pod cesarzem Trajanem, odznaczając się prócz niezwykłego męstwa, szlachetnością umysłu i serca. Doczesne szczęście zewsząd mu przyświecało, zwłaszcza, gdy pojąwszy za żonę Teopistę, szlachetną i bogatą Rzymiankę, dwoma synami od Boga obdarzonym został. Razu jednego bawiąc się łowami, spostrzegł wspaniałego jelenia, a dogoniwszy go, widzi między rozłożystymi jego rogami, jaśniejący krzyż Zbawiciela, a zarazem usłyszał słowa: „Czemuż mnie prześladujesz? Uwierz we mnie: Jam jest Chrystus, dlatego, żeś jest miłosiernym dla bliźnich, chcę ci też miłosierdzie okazać. Idź więc do biskupa w mieście, daj się wraz z całą rodziną ochrzcić, później wróć tu, a Ja ci powiem, co masz dalej czynić“. Wróciwszy do domu, opowiedział cudowne zdarzenie swej żonie, ona mu zaś opowiedziała, jak przed chwilą pokazał się jej człowiek z krzyżem, który rzekł do niej: „Dziś jeszcze zapisane będzie w księgę żywota twoje mię i twego męża i dzieci twoich“. Tego samego dnia wszyscy otrzymali chrzest święty. Nazajutrz powrócił Eustachy na miejsce, gdzie miał cudowne zjawienie, prosząc, aby mu Chrystus objawił, co ma dalej czynić. Usłyszał wtedy, że go wiele cierpień czeka, że wszystkie doczesne dobra utraci — „ale walcz mężnie (dodał Zbawiciel), tak, jakeś dla cesarza walczył, a łaska Moja pozostanie z tobą i z twoimi“. Niedługo potem, Eustachy, utraciwszy cały swój dobytek, musiał uciekać do Egiptu wraz z żoną i dziećmi.

Przybywszy do Egiptu, nieludzki kapitan okrętu zabrał mu żonę za to, że nie miał czem natychmiast za podróż zapłacić. Wkrótce stracił i obydwóch synów. Przeprawiając się bowiem przez potok, kiedy jednego z nich przeniósł na drugą stronę, wracając po drugiego, widział, jak jednego lew, a drugiego wilk po-

rywał. Nie pozostało mu nic innego, jak oddać się na służbę pewnemu rolnikowi, zataiwszy swe imię. Mijały mu długie lata wśród ciężkiej pracy i bolesnych wspomnień. Tymczasem nieprzyjaciele pustoszyli państwo rzymskie w Azyi. Trajan nie mogąc znaleźć odpowiedniego wodza do owych trudnych wojen, wspomniał sobie na Eustachego i kazał go po całem państwie szukać. Znaleziony i na czele wojska postawiony, wnet chwalebnie zwyciężył i upokorzył nieprzyjaciół. Kiedy wracał z wojskiem, trafiło się, że dwaj z jego najdzielniejszych wojowników razem do jednego domu na odpoczynek wstąpili, i tam opowiadali sobie, wobec niewiasty z tego domu, jak zacnych mieli rodziców, jak stracili cały dobytek, jak przybywszy do Egiptu, stracili matkę, a później ojca, że napadnięci byli od dzikich zwierząt, od których jednak za cudowną Opatrznością Bożą, poczciwi ludzie uwolnili ich i wychowali między sobą. To wszystko słysząc nieznana dotąd niewiasta, łzami radości zalana, zawołała: „Toć wy moimi synami jesteście — jam jest Teopista, matka wasza!“ Wnet razem z synami przedstawiła się wodzowi, prosząc, aby im pozwolił razem z nią do ojczyzny wrócić. Ten poznał żonę, rzucił się jej w objęcia, przejęty najwyższą wdzięcznością ku Bogu, tem bardziej, gdy się od niej dowiedział, że od chwili rozłączenia się z nim, ani na chwilę Boga nie opuściła, że Bóg cudownie ją strzegł, że dopomagał jej do zachowania wiary świętej i cnoty. Ciesząc się i wychwalając Boga, wrócili wszyscy razem do Rzymu, ale to ich doczesne szczęście zbyt krótko trwać miało. Bóg przemienił je na wieczne. Ledwie przybyli do Rzymu, pogański cesarz nakazał, aby Eustachy, jako naczelny wódz, złożył publicznie ofiarę na cześć fałszywych bożków. Nie przystał na to Eustachy, wyznając śmiało: „Jestem chrześcijaninem!“ Zrzymając się cesarz, kazał zeń zedrzeć bogaty strój rycerski i razem z jego rodziną, w cyrku porzucić lwom na pożarcie. Gdy jednak zwierzęta nie ośmieliły się ich dotknąć, kazał ich wrzucić do rozpalonego miedzianego wołu, gdzie wszyscy chwalebnego męczeństwa dokonali.

Do czegoby doszło, gdyby ludzie nie mieli żadnej wiary.

Dosyć już tej głupiej gadaniny! Religia i religia bez końca! Jak gdyby świat nie mógł istnieć bez religii! W życiu mojem miałem już nieraz do czynienia z ludźmi, którzy w nic nie wierzyli i wcale się tego nie zapierali — a i tak doszedłem z nimi łatwiej do końca, niż z obłudnymi świętoszkami, u których ciągle na ustach religia i religia. Mieć głowę na karku i umieć z każdej skorzystać sposobności, by sobie pieniędzy przysporzyć, to i to jest także religią, która jest bardzo pomocną i skuteczną w życiu i nigdy nie zawodzi“.

Tak odezwał się w pewnej, licznie odwiedzanej gospodzie młody, zamożny kupiec. Wszyscy obecni oniemieli na razie, słysząc to niespodziewane, tak bezczelne oświadczenie młodzika. Jedni podzielali wprawdzie te same, co i on zasady, ale nie mieli tej odwagi wyznać swych przekonań tak otwarcie i bez ogródek. Drudzy potępiali je może w duchu, lecz nie śmieli wystąpić przeciw tak znakomitemu i wpływowemu mężowi, jakim był ów mowca. Znali oni dobrze złośliwy jego język i nie chcieli z nim zaczynać.

Do tych ostatnich należał także pewien krawiec, siedzący nieco dalej od tego nieprzyjaciela religii. Przemówienie tego człowieka sprawiło mu niewymowną przykrość. Był on dobrym, starym znajomym rodziny owego kupca, z którą jako krawiec, od wielu lat miał do czynienia i wiedział dobrze, jak bogobojnie i religijnie starał się nieboszczyk ojciec, także kupiec z zawodu — wychować tego właśnie syna i wszystkie dzieci swoje. Toteż bolało go serce, gdy słyszał, jak lekkomyślny ten młodzieniec wygłaszał publicznie tak bezbożne zasady. Zasady takowe, pomyślał sobie, prowadzą do zguby; któż ocali od niej tego biednego zaślepieńca? Gdy tak smutno rozmyśla, wpada mu nagle pewna myśl do głowy; rozważa ją bliżej, znajduje, że jest wyborną — i całkiem już uspokojony, oddala się nieznacznie.

Nazajutrz, gdy ów kupiec siedział w swej kancelaryi i pracował, zapukał ktoć z lekka do drzwi.

— Dzień dobry, przemówił, wchodząc do pokoju krawiec, który tu bywał częstym i mile widzianym gościem.

— Cóż mi pan przynosisz nowego, panie majstrze?

— Nic, jak tylko rachunek za robotę krawiecką z tamtego roku, o którego zapłacenie upraszam, gdyż potrzebuję pieniędzy.

— Co znowu! rachunek z przeszłego roku? Czyż panu nie zapłaciłem własną ręką trzydziestu talarów gotówką za robotę przeszłoroczną tu, wtem samem miejscu? Jakto, to pan nie pamiętasz, żem nie mógł wtedy znaleść pańskiego rachunku i że powiedziałem do pana: Oto należytość za robotę — spodziewam się, że pan nie będziesz żądał drugi raz zapłaty odemnie a co się tyczy pokwitowania z odbioru, to mi pan później doręczysz przy sposobności. Co, czy nie tak, obłudny świętoszku! — zowołał rozzłoszczony kupiec, podnosząc się z miejsca.

— Mylisz się pan — odpowiedział spokojnie krawiec. Gdybym był jeszcze świętoszkiem, to nie żądałbym od pana po raz drugi tej należytości; ale właśnie nie jestem już świętoszkiem, oblokłem się w inną skórę i teraz wyznaję zupełnie inną religię, która opiewa: „Miej głowę na karku, nie żałuj rąk i nóg i spekuluj“. My-

ślę, że w ten sposób dojdę prędzej do majątku; a że przypadek zrządził, że pan nie posiada mojego pokwitowania z odebranej należytości, więc rozpoczynam spekulacyę od pana i żądam po raz drugi zapłacenia mi trzydziestu talarów.

Kupiec miał już wyzionąć na krawca cały potok klątw i złorzeczeń i wyrzucić go za drzwi — gdy w tem przypomniał sobie, że nie ma pokwitowania w rękach: przypomniał sobie również zasady, jakie wczoraj publicznie wygłaszał, na które powoływał się teraz krawiec widocznie; ale widząc nadzwyczajny spokój i powagę na twarzy swego przeciwnika, pohamował się przemocą i zapytał się tylko:

— Panie majstrze, czy jesteś uczciwym człowiekiem, czy też łotrem?

Na to spokojnie odpowiedział krawiec:

— Jak długo byłem nabożnisiem i wierzyłem w Boga, przywiązywałem wartość do nazwy uczciwego; ale odkąd spekulacya stała się moją religią, wybiłem sobie tę mrzonkę z głowy i serca; uczciwym jest u mnie ten, kto dobrze spekuluje — a co się tyczy łotra, to idzie on w parze z bratem swym: spekulantem; ale wracając do rzeczy, proszę o pieniądze, albo będę skarżył.

— Skarż pan, skarż — i owszem — sąd musi mi przyznać słuszność!

— Zwolna, zwolna panie! zastanów się pan dobrze nad tą sprawą i nie zmuszaj mnie do skargi. Pomyśl pan tylko, że nie masz odemnie pokwitowania i że gotów jestem zaprzeczyć odbioru mej należytości. — Pan pragniesz i będziesz zmuszonym zapłacić jeszcze koszta procesu; widzisz pan więc, że straciłbyś na tej spekulacyi.

— Ależ ja pana zmuszą do złożenia przysięgi — zawoła kupiec oburzony tem do żywego.

— Ej, co mi tam przysięga! odparł krawiec z lekceważącym uśmiechem. Gdym jeszcze wierzył w Boga, zbierał mnie strach na samą myśl krzywoprzysięstwa i wolałbym był raczej ponieść największą stratę, niż odważyć się na krzywoprzysięstwo. Gdym się jednak otrząsł z tego starego przesądu, który nazywają religią, to teraz gotów jestem przysięgać, ile razy pan zażąda; prawdziwie lub krzywo, to mi wszystko jedno — zresztą, krzywoprzysięstwo jest teraz bardzo w modzie. Bo i jakież to może mieć znaczenie, choćbym powiedział: „Tak mi Panie Boże dopomódz i święta jego Ewangielia“, jeżeli nie wierzę w Boga, ani w Ewangielią? Ale czas mi już iść; jak widzę, tracę napróżno czas, który sobie więcej cenię, niż pieniądz. Zła to spekulacya — a zatem do widzenia w sądzie.

Mówiąc te słowa, wyszedł krawiec z kancelaryi, zostawiając wolnomyślnego kupca w najwyższem osłupieniu i wzburzeniu. Czy jednak pochodziło ono ze wstydu lub gniewu, o tem trudnoby było powiedzieć.

— Co tu robić? mówił on sam do siebie. Zapłacić mu po raz drugi? Nie, tego nie uczynię nigdy w świecie!

Po długim namyśle i suszeniu głowy posłał do jednego z adwokatów miejskich, prosząc go, aby go odwiedził wieczorem, celem udzielenia mu rady w pewnej ważnej sprawie. Wieczór nadszedł a z nim i adwokat. Kupiec opowiedział mu całą sprawę, rozmowę swoją z podstępnym krawcem — nie wspomniawszy ani słówkiem o swojem odezwaniu się przeszłego wieczora w gospodzie.

— Co tu począć panie mecenasie, zapytał się wreszcie z widocznem niepokojem, ukończywszy opowiadanie swoje.

— Co począć? Ja tu nic nie pomogę. Rzecz się tak ma: Jeżeli pan nie masz pokwitowania a krawiec przysięgnie, że nie odebrał od pana należytości swojej, to będziesz pan musiał zapłacić po raz drugi. Oto są skutki niewiary, panującej obecnie na świecie. Wiara upada a złe bierze górę. Jeżeli tak dalej pójdzie, to świat nie będzie mógł istnieć. Jak potężny a zbawienny wpływ wywiera religia, o tem mógłem się przekonać w ciągu długoletniej mej praktyki adwokackiej. Bez religii nie może istnieć uczciwość, sprawiedliwość, obowiązek; bez religii społeczeństwo ludzkie jest jakoby okręt bez steru i kotwicy na falach wzburzonych! Oto skutki ustawicznego wyśmiewania i wyszydzania religii przez fachowych szerzycieli oświaty i dzienniki. Jestto zaraza, której uległ znów jeden z naszych najzacniejszych obywateli, znany dotąd z prawego i nieposzlakowanego charakteru. Ale pozostaje nam jeszcze jeden środek — dodał adwokat po chwili. Trzebaby rzecz tę przedstawić naszemu księdzu Proboszczowi i prosić go, by zechciał przemówić do serca tego oszusta — a może wejdzie w siebie i odstąpi od tej niesłusznej pretensyi.

— Wprawdzie nie przywięzuję wielkiej wagi do wszelkich księżych gadanin — odpowiedział niepewnym głosem wolnomyślny nasz kupiec, lecz...

Wtem zapukano do drzwi i — oto wszedł znów krawiec, trzymając tym razem jakiś skrypt w ręku.

— Przynoszę panu, przemówił przybyły poważnym i uroczystym głosem — wiadomy rachunek wraz z pokwitowaniem mojem. Dziwisz się pan zapewne i nie wiesz, co to wszystko ma znaczyć. Otóż proszę posłuchać mnie i nie brać mi za złe, że powiem otwarcie co myślę i czuję.

Gdym wczoraj, w dobrze panu znanej gospodzie słyszał, jak pan wyrażałeś się ubliżająco o religii, wtedy zabolało mnie serce i pomyślałem sobie: Ach, gdyby to słyszał ś. p. zacny ojciec jego! Jako dawny znajomy ojca pańskiego, przypomniałem sobie wówczas słowa, które wyrzekł na łożu śmiertelnem do pana i reszty dzieci: „Drogie dzieci, czcijcie religią i przestrzegajcie jej w całem życiu waszem; jest ona cenniejszą, niż wszystkie skarby tego świata,

ona tylko czyni nas prawdziwie szczęśliwymi". Wspomnienie pobożnego ś. p. ojca pańskiego, którego pamięć będę zawsze czcił i cenił, dodało mi odwagi przyjęcia na siebie na chwilę roli łotra i oszusta względem pana, by panu pokazać, do czego dochodzi ten, kto się wyrzeknie wiary; spekulacya musi się zgadzać z religią, w przeciwnym bowiem razie spekulacya przyniesie nam w zysku straty doczesne i wieczne.

Nim kupiec ochłonął z głębokiego zdumienia i zawstydzenia, nie było już prawdomównego krawca w pokoju. Adwokat odezwał się po chwili:

— Człowiek ten ma słuszność, zdanie jego podzielam w zupełności.

Kupiec milczał i zamyślił się głęboko; zajście to pobudziło go do zastanowienia się nad sobą — przesądy i uprzedzenia, których nabrał z lekkomyślnych pism i mów przeciwko świętej naszej religii i które wrodzona mu lekkomyślność tem więcej rozwinęła i spotęgowała — słabły z każdym dniem i obracały się w niwecz, podczas, gdy zasady zaszczepione w duszy jego ręką pobożnego ojca, rozwijały się coraz silniej pod wpływem łaski Bożej i niedowiarek ten stał się znów pobożnym, przykładnym chrześcijaninem.

Widzisz więc kochany czytelniku, do czego dochodzą ludzie, wyrzekający się wiary. Jak szalonymi są ludzie, którzy utrzymują, że wtedy dopiero byłaby ludzkość prawdziwie szczęśliwą, gdyby jej nie krępowały surowe ustawy religii!

Dlatego też przestrzegajmy wiernie świętej naszej religii, w niej tylko bowiem możemy znaleść szczęście doczesne i wieczne.

Hetman Czarniecki.

Hetman Czarniecki po tylu trudach i bitwach, po odebranych ranach — cały był postrzelany i pocięty — wpadł w ciężką chorobę. Radzono mu, aby jechał z Ukrainy, gdzie walczył z kozactwem, do Polski ratować zdrowie, co też i uczynił. Kiedy był w drodze, odbiera list od króla Jana Kazimierza, który mu przysyła buławę hetmańską; bo czy uwierzycie? ten Czarniecki, co Polskę wybawił, dotąd nie był hetmanem! To też, kiedy leżącemu na łóżku przyniesiono list, powiedział: „Mówiłem nieraz, że mię wtedy zrobią hetmanem, kiedy nie będę mógł szablą robić. Dadzą chleb kiedy nie będzie zębów". Inni co się porodzili bogatymi panami, choć nie mieli zasług takich jak Czarniecki, zostawali zaraz z młodu hetmanami, ale jemu ubogiemu szlachetce, trudno się było dochrapać hetmaństwa, mimo że pięćdziesiąt lat od prostego żołnierza wysługiwał się ojczyźnie. Byli nawet tacy, co mu wymawiali, że z prostego szlachcica powstał, lecz on na to odpowiedział:

Ja nie z soli ani z roli,
Ale z tego co mnie boli
Urosłem.

I prawdę mówił, bo jedni panowie wzbogacili się, trzymając od króla żupy solne, gdzie sól dobywają, drudzy ze starostw, a on tylko ranami, krwią swoją i dzielnością doszedł do znaczenia.

Schorzały hetman nie mogąc już jechać w powozie, niesiony był; a widząc się bliskim śmierci, kazał położyć się w chłopskiej chałupie w Sokołówce na Wołyniu. Wyspowiadawszy się i przyjąwszy Ciało i Krew Pańską, mówił, aby mu przyprowadzono ulubionego konia, na którym wiele bitew wygrał, a pogłaskawszy go rzekł do sług: „Miejcie o nim staranie", — poczem Bogu ducha oddał. Posąg tego bohatera, co ojczyznę wybawił, stoi w mieście Tykocinie.

Opatrzność.

Dzisiejsze przemądrzałe czasy chcą wykluczyć zupełnie z dziejów świata Opatrzność. Utrzymanie i rządy świata przypisują prawom przyrody; każde zaś nadzwyczajne zdarzenie tłumaczą „przypadkiem". Wierzący chrześcijanin powiada natomiast, iż świat utrzymuje i światem rządzi Opatrzność Boża, od której owe prawa przyrody pochodzą. Cuda zaś i wszystkie nadzwyczajne zdarzenia — to nie ślepe jakieś „przypadki", ale zrządzenia Opatrzności. Bóg bowiem przenika wszystko i nic się bez Jego woli nie dzieje. Zobaczymy to na przykładzie.

Z dalekiego świata wraca syn do domu. Cieszy się stęsknione matczysko; po długiej rozłące znów zobaczy jedynaka. Pisał, że dzisiaj, w nocy, przyjedzie. Krząta się więc dobre matczysko po izbie; posiłek i posłanie dla syna gotuje, a raz wraz oknem ku drodze wyziera i nadsłuchuje. Ciemno i cicho wszędzie. Głęboka noc zaległa ziemię. Musi już być po północy, kiedy tak cicho... Zlękło się matczyne serce tej ciszy. Stanęła chwilę zadumana; jakieś zło przeczuwa. Pada na kolana przed świętym obrazem i tak gorąco, jak tylko matka może, do Boga woła: „Panie, zachowaj mi dziecię od złego!"... I długo, długo tak trwa w żarliwej modlitwie. — Nagle z klęczek się porywa, a okropny jęk jakiś z piersi jej się wydziera... Z daleka słychać przeciągły świst. To kolej tak gwiżdże, gdy na stacyę zajeżdża. Ale teraz, tam daleko, w górskim jarze gwiżdże. A tak długo już świszczy i tak jękliwie jakoś! Tam się coś stało! — Porwało chustę biedne matczysko i tam, skąd ten jęk kolei leciał, pobiegła...

Na skręcie jaru oberwała się skała i spadła na tor kolejowy. Przed chwilą się to stało. Pół godziny temu, szedł tamtędy dróżnik, a wszyst-

ko było w porządku. Teraz oberwany głaz zawalił drogę. Za chwilę wpadnie nań pociąg i w drzazgi się rozleci; setki ludzi okropna śmierć czeka. A pośród tych ludzi zginie i syn jedynak, który z dalekiego świata do matki stareńki dziś wraca. Nie! On nie zginie i nikt nie zginie. Wszak stara matka tak rzewnie się modliła, a modlitwy matki Bóg zawsze wysłucha...

Zmęczony dalekim obchodem, wrócił dróżnik do domu. Ledwie usiadł, jakiś dziwny niepokój w sercu poczuł. Wziął latarnię i wybiegł na tor. Rozejrzał się w koło — ciemno i cisza. Z oddali jeno słychać jakiś przytłumiony szelest. To pociąg jedzie. Słychać go, ale za ćwierć godziny dopiero tu przybędzie, bo droga przez kręte jary długa. Przystanął dróżnik na chwilę i słucha. Wtem nagle z miejsca się porwał i pędem ku jarowi pobiegł. Tam się coś stało! Ma jakieś dziwne przeczucie!... Dobiegł do skrętu i stanął, jak wryty. Na torze głaz, a pociąg tuż. tuż... Głazu nie usunie; straszne nieszczęście! — Wnet jednak ochłonął i pędzi dalej. Obaczył pociąg i latarką daje znaki. Zauważono widać te jego znaki, bo maszyna przeraźliwie świszczeć poczęła i pociąg stanął! Setki ludzi uratowanych!... Wylegli wszyscy na tor, a patrząc na zwalisko, co im śmiercią groziło, „co za szczęśliwy wypadek — mówili — przezorność dróżnika życie nam uratowała!" A biedne matczysko, które pędem do jaru przybiegło, odnalazłszy syna w tłumie, zawołało: „Bóg cię uratował, synu; ja się tak przecież modliłam!"

I słusznie mówiła! Widoma bowiem w tem zdarzeniu sprawa Boża. Schodzą się tu dwie sprawy: modlitwa matki i niepokój strażnika. Te dwie sprawy, nie mające na pozór nic wspólnego, tłomaczą nam działanie Opatrzności. A działo się tak: Matka się modliła; Bóg wysłuchał jej modlitwy i obudził ów niepokój w sercu dróżnika; w zaniepokojonem sercu dróżnika powstaje nagła myśl: idź, zobacz, czy na torze wszystko w porządku. Czynne wykonanie tej myśli powoduje wstrzymanie pociągu i ocalenie setek ludzi. W ten sposób nie potrzebował Bóg sam bezpośrednio wkraczać w bieg przyrody i sposobem nadzwyczajnym znosić jej praw; nie trzeba było Bogu unosić kamienia w powietrze, ani drogi przekładać. Używa do tego człowieka, jako swego narzędzia. Działa ostrzegawczo na duszę dróżnika, a ten wykonuje dalej swą powinność. I na tem właśnie działaniu na duszę tego dróżnika polega cała rzecz cudu Opatrzności. Wszystko inne działo się trybem zwyczajnym.

Tak rozumuje wierzący katolik i cała sprawa jasno mu się przedstawia. Niedowiarek zaś powie, że wszystko stało się przypadkiem; przypadkiem modliła się matka, przypadkiem wyszedł dróżnik na tor i przypadkiem zatrzymano pociąg. Czem zaś jest ów „przypadek" i czemu tak często owe przypadki z modlitwą, czy inną sprawą Bożą się łączą — powiedzieć nie umie. I nie dziw, że nie umie tego wyjaśnić. Gdy się bowiem z dziejów świata usunie jego Stwórcę i Rządcę, wtedy wszystko stanie się dla nas zagadką, nigdy nie wyjaśnioną. Chrześcijańska zaś świadomość, że Bóg stworzywszy świat, zachowuje go i rządzi nim — przedstawia nam jako ostateczną przyczynę wszystkiego: Opatrzność Bożą i najzawilsze zdarzenia jasno tem tłómaczy.

Zemsta kapłana.

U drzwi pewnego kościoła w Paryżu. widywano codziennie od wielu. wielu lat, stojącego starego żebraka, znanego wszystkim pod nazwą „starego Jakóba". Oczekując jałmużny, siedział na jednem i tem samem miejscu smutny i ponury, nie odzywając się prawie nigdy i tylko skinieniem głowy wyrażał podziękowane, gdy go czem obdarzono. Gdy łachmany wiszące na nim w strzępach, nieco się odchyliły, można było widzieć pięknie pozłacany krzyż na wychudłej, zapadłej piersi nędzarza.

W tymże kościele zwykł był odprawiać Mszę świętą młody kapłan, imieniem Paulin, który nigdy nie przeszedł koło biednego Jakóba, nie obdarzywszy go skromnym datkiem. Paulin pochodził z bogatej i znakomitej rodziny francuskiej; jako duchowny, poświęcił się zupełnie i wyłącznie Bogu — całe zaś mienie przeznaczył na wspieranie ubogich i nieszczęśliwych. Ne znając go bliżej, lubił go bardzo stary Jakób.

Pewnego dnia zauważył Paulin, że stary Jakób nie siedział na zwykłem swem miejscu; gdy zaś przez dłuższy czas nie było go widać, zaniepokoił się tem żywo i zaczął się obawiać, czy biednego staruszka nie spotkało co złego. Dowiedział się przeto, gdzie mieszka i pewnego razu udał się do niego, odprawiwszy Mszę świętą. Puka do wskazanej izdebki na poddaszu — a słysząc cichy głos, zapraszający go do wejścia — wchodzi i zastaje Jakóba chorego w łóżku, czyli raczej na nędznym barłogu — z twarzą śmiertelnie bladą, z gasnącem okiem.

— Ach! to Wielebny Ksiądz Dobrodziej — zawołał z radością, poznawszy zacnego kapłana. Jesteś bardzo łaskawym mój Ojcze, iż przychodzisz do tak nędznego człowieka, jak ja. Prawdziwie, że nie zasługuję na to!

— Co też to mówisz Jakóbie, odpowie na to Paulin — czyż nie wiesz, że ksiądz jest przyjacielem nieszczęśliwego? A zresztą — dodał uśmiechając się — jesteśmy przecie starzy znajomi.

— Ach Księże Dobrodzieju! gdybyś wiedział... gdybyś mnie znał lepiej... to prawdziwie, nie rozmawiałbyś ze mną w ten sposób! Nie, nie — nie przemawiaj do mnie tak łaska-

wic, tak dobrotliwie; jestem nędznikiem... przeklętym od Boga i ludzi!

— Przeklęty od Boga! co też ty mówisz? Ach, biedny mój Jakóbie — jak możesz mówić tak od rzeczy! Jeżeliś się czego złego dopuścił, to żałuj i wyspowiadaj się z tego; Pan Bóg jest nieskończenie dobrym i miłosiernym i przebacza wszystko grzesznikowi szczerze żałującemu.

— Ale nie mnie — mnie On nigdy nie przebaczy!

— Nigdy? i dlaczegóżby nie? Czy żałujesz za złe, któreś popełnił?

— Czy ja żałuję? — zawołał donośnym głosem Jakób, zerwawszy się z posłania i wodząc przerażonym wzrokiem dokoła. Czy żałuję? — tak jest, żałuję z całego serca — trzydzieści już lat żałuję tego... a jednak i tak jestem przeklętym... jestem potępionym na wieki!

Dobry kapłan starał się go pocieszyć i podnieść na duchu; ale na próżno. Straszna jakaś tajemnica nurtowała głębie serca jego a rozpacz powstrzymywała tego nieszczęśliwego od wyjawienia swej zbrodni. Nareszcie, nie mogąc się oprzeć łagodnym i serdecznym namowom kapłana, postanowił nieszczęśliwy Jakób powiedzieć przed nim to wszystko, co go tak bolało — i stłumionym, drżącym głosem zaczął opowiadać, co następuje:

„W czasie krwawej rewolucyi przy końcu zeszłego wieku, miałem sobie powierzony zarząd nad dobrami i zamkiem pewnej znakomitej i bogatej rodziny. Państwo moi byli dla mnie anielsko dobrzy... hrabia, hrabina, dwie córki i syn. Miałem im wszystko do zawdzięczenia: stanowisko korzystne, wychowanie i żywot spokojny i szczęśliwy, jaki pod ich dachem pędziłem. Gdy jednak nadeszły czasy teroryzmu — te straszne czasy, w których, jako na niebezpiecznego zwierza polowano na ludzi, należących do wyższych stanów, mordowano ich i zabijano bez litości, bez różnicy wieku i płci — wtedy zdradziłem ich nikczemnie! Unikając niechybnej śmierci, ukryli się w bezpiecznem miejscu; wiedziałem gdzie i... doniosłem o tem krwiożerczym tyranom Francyi — a to w celu dostania dóbr ich i majętności, które z prawa przypadały donosicielowi. Wszystkich tych zacnych, szlachetnych ludzi skazano na śmierć z wyjątkiem małego Paulina, który był jeszcze zbyt młody“.

Tu wydarł się z ust kapłana mimowolny okrzyk zgrozy i przerażenia — a zimny pot spływał mu z czoła.

— Ach, Księże Dobrodzieju! — ciągnął dalej stary żebrak, który głęboko wzruszony i miotany okropnem tem wspomnieniem, nie mógł zauważyć przerażenia nieszczęśliwego swego słuchacza — straszna to, piekielna zbrodnia!... Słyszałem, jak im odczytano wyrok śmierci — widziałem, jak ich wszystkich czworo rzucono skrępowanych na taczki śmiertelne; widziałem... ach, księże Dobrodzieju, odwagi! Widziałem, jak głowy ich padały pod uderzeniem morderczego ostrza piekielnej istnie maszyny! Jakże okropnym, nikczemnym, potwornym jestem zbrodniarzem!... I odtąd nie mam ani chwili spokoju, ni ulgi. Płaczę, modlę się za nich. Widzę ich we dnie i w nocy! Patrz, księże — oto są tam, za tą zasłoną!

Mówiąc to, wskazał drżącą ręką na płócienną zasłonę, pokrywającą pewną część ściany.

— Krzyż ten, który wisi nad łóżkiem, był własnością nieszczęśliwego pana mego. Ten zaś mały, złoty krzyżyk, który mam na sobie, nosiła niegdyś pani hrabina na szyi, nie rozstając się z nim nigdy za życia. Ach mój Boże! jak przerażająca zbrodnia i podłość! jakże strasznie cierpię! jak gorzko żałuję za to!... Ach, zlituj się nademną Ojcze Wielebny! nie odpychaj mnie i ty od siebie! — módl się za mną, największym zbrodniarzem i najnieszczęśliwszym z ludzi!

Ksiądz klęczał przy chorym żebraku, blady jak śmierć. Po półgodzinnem, ponurem milczeniu, wstał spokojny i pogodny jak zwykle — przeżegnał się i uchyliwszy zasłony zobaczył dwa portrety.

Na ten widok straszny, rozpaczliwy krzyk wyrwał się z piersi Jakóba, który bezsilnie zwalił się jak kłoda na posłanie. Ksiądz rzewnie płakał.

— Jakóbie, przemówił wreszcie drżącym głosem — wyrobię ci przebaczenie u Boga; wysłucham cię spowiedzi.

Mówiąc to, usiadł przy tapczanie, a stary Jakób spowiadał się długo i szczerze. Gdy umierający wyznanie swe ukończył, zabrał głos Paulin.

— Jakóbie, rzekł natchnionym i uroczystym głosem — Pan Bóg ci przebaczył; ale nie na tem koniec i ja też przebaczam ci z miłości ku Niemu. Ci bowiem, których wydałeś na śmierć, byli to... ojciec, matka i obie siostry moje!

Jakóbowi włosy stanęły z przerażenia na głowie — otworzył usta, bełkocząc kilka słów niezrozumiałych i upadł na posłanie. Kapłan przystąpił bliżej... Żebrak już nie żył.

Wyznania nawróconego protestanta.

Karol Ludwik de Haller, członek najwyższej rady miasta Berna w Szwajcaryi, znany w całej Europie ze swoich pism znakomitych, powrócił na łono Kościoła katolickiego w 50-tym roku życia i wyrzekł się protestantyzmu 17 października 1820 r. wobec biskupa Fryburskiego.

Usunąwszy się do Paryża, napisał 18 kwietnia 1821 roku list do swej rodziny, w którym opowiada historyę i powody powrotu swego do

Kościoła katolickiego. Oto niektóre ustępy z tego pięknego listu:

„Moja najdroższa i najukochańsza małżonko, i wy moi najdrożsi bracia, siostry i krewni!... Znacie od dawna moją skłonność do Kościoła katolickiego, który nie jest niczem innem, jak „powszechnem zgromadzeniem chrześcijan“. Skłonność ta nie od dzisiaj początek swój wzięła; nikt mnie nie zapraszał, ani namawiał; jest ona naturalnym owocem dobrej woli, zdrowego rozsądku i szczególniejszej łaski Bożej, która mnie doń prawie cudownym sposobem zaprowadziła.

Piękność kościołów katolickich podnosiła zawsze mą duszę ku przedmiotom religijnym; nagość naszych zborów, z których usunięto wszystkie znamiona chrześcijaństwa, suchość naszego nabożeństwa, nigdy mi się nie podobały; zdawało mi się zawsze, że nam czegoś brakuje, że jesteśmy obcymi wśród chrześcijan. Podczas mego wychodźctwa poznałem wielu kapłanów katolickich; a chociaż mi nigdy nie mówili o religii, musiałem podziwiać ich miłość, spokój wśród oszczerstw, naukę i głęboką wiedzę. Czułem jakąś tajemną ku nim sympatyę i nadzwyczajne zaufanie.

Czytając pisma „towarzystw tajnych“, przekonałem się o istnieniu stowarzyszenia duchowego, po całej kuli ziemskiej rozgałęzionego, w celu nauczania, utrzymania i rozpowszechniania zasad bezbożnych i niegodziwych, które jednak stało się potężnem przez swą organizacyę; poznałem zgodę jego członków i różne środki prowadzące do celu — a chociaż stowarzyszenia te przejmowały mnie grozą, to jednak sprawiły, żem uznał potrzebę przeciwnego stowarzyszenia religijnego, któreby miało władzę zachowania i nauczania prawdy, aby nałożyć wędzidło na zboczenia rozumu ludzkiego, aby zjednoczyć dobrych i przeszkodzić, by ludzie nie dali się uwieść każdemu wiatrowi nauki; ale dopiero później spostrzegłem, że takiem stowarzyszeniem jest Kościół katolicki — i że to jest przyczyną nienawiści, jaką pałają wszyscy bezbożni przeciw Kościołowi temu; podczas, gdy wszystkie dusze zacne i religijne, acz nie należą do Kościoła, przynajmniej sercem zbliżają się ku niemu.

Razu jednego, będąc w Wiedniu, szedłem koło księgarni i ujrzałem małą książeczkę napisaną dla ludu, w której są objaśnione wszystkie obrządki i ceremonie Kościoła katolickiego; kupiłem ją z prostej ciekawości i mam ją dotychczas. Lecz jakże się zdziwiłem, spostrzegłszy w niej tyle rzeczy pouczających; jako to: znaczenie, cel i pożytek tych zwyczajów, które my zabobonami zowiemy.

Czytanie uważne i częste biblii przekonało mnie, że istnieje Królestwo Boże na ziemi, tj. Kościół, czyli zgromadzenie wiernych, które Paweł święty zowie „ciałem Jezusa Chrystusa“; iż ono posiada swą głowę i swe członki, mające na celu utrzymywać i zachowywać religię chrześcijańską. Tych miejsc Pisma świętego nasi pastorowie nigdy nie cytują — bo według mniemania protestantów, nie podobną jest dać im wyjaśnienie proste i naturalne.

Tak tedy mogę powiedzieć, żem był katolikiem w duszy a protestantem z imienia. Przekonałem się, że rewolucya wieku XVI., którą my reformą zowiemy, jest w swoich zasadach, środkach i skutkach, doskonałym obrazem i poprzedniczką rewolucyi politycznej w czasach — a wstręt do tej ostatniej sprawił, żem sobie i samą reformayę obrzydził.

Kilka tygodni przed Bożem Narodzeniem 1819 roku, gdym płakał w moim pokoju, rozważając słowa Pisma świętego: „Dziś, gdy głos jego usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych“, i niespokojny o wychowanie mych dzieci, modliłem się za nie — przyszła żona i zaprosiła mnie na kazanie, gdyż jakiś uczony profesor miał bardzo pięknie mówić. Poszedłem. Jakże się zdziwiłem, słysząc kapłana katolickiego, który sobie za przedmiot kazania wziął te same słowa, nad któremi rano rozmyślałem!“

To skłoniło ostatecznie Hallera do powrotu na łono św. Matki: Kościoła katolickiego.

Nieco niżej pisze tenże:

„Cóż to znaczy, moi przyjaciele, być katolikiem — którego sama nazwa was przeraża? Gdybym był został ateuszem bezbożnikiem, członkiem towarzystw tajnych lub niechrześcijańskich, nikt-by był nic nie powiedział; ale przyłączyć się do zgromadzenia chrześcijan najdawniejszego, najliczniejszego, do którego należeli nasi przodkowie, i które jest po całym świecie rozpowszechnione; które, niech mówią co chcą, zostało zawsze jednem i tem samem, które nie powstało z innego, lecz od którego wszystkie inne wyszły — czyż miałoby być błędem nie do darowania ?

Być katolikiem, moi bracia i siostry, nie znaczy być zabobonnym — lecz znaczy: być po prostu chrześcijaninem, członkiem zgromadzenia wiernych, zostających pod tym samym przełożonym, w tej samej wierze, w tej samej czci Bożej po całym świecie rozszerzonej; stowarzyszenia, które sprawia, że gdziekolwiek będziecie, wszędzie napotkacie przyjaciół i braci; ono wszędzie tej samej wiary naucza i tego samego prawa, tę samą pomoc miłości niesie we wszystkich przykrościach i nieszczęściach. Czyż to stowarzyszenie ma w sobie coś tak strasznego? Nie widzicie, że ono stanowi największą ojczyznę? Co do mnie, ono jest dla mnie jeszcze droższe, odkąd prawie wszystkie inne węzły towarzyskie albo się rozluźniły, albo porwały.

Mówicie mi żem zmienił religię, żem się wyrzekł wiary ojców. Moi przyjaciele! Protestant zostając katolikiem, nie zmienia, po prawdzie mówiąc, religii — on wraca tylko na łono Kościoła; jest on owieczką zbłąkaną, szukającą pasterza i prawowitej owczarni — dzieckiem

zgubionem, które powraca do domu ojca — żołnierzem, co zbiegł od chorągwi, lecz wraca pod swoją chorągiew i słucha swego jenerała.

Tak więc moi drodzy bracia i siostry — wracając do Kościoła nie wyrzekam się religii, tylko szyzmy, to jest oderwania się od Kościoła: wyrzekam się marzeń własnego rozumu, który jest przyczyną wszelkich zboczeń. Niemasz ani jednego pisarza protestanckiego, któryby nie opłakiwał tego rozdwojenia, jakie od trzech wieków rozdziela braci, którzy powinni się nawzajem miłować i wspomagać.

Mówią, że przyczyną tego rozdwojenia były nadzyczajne okoliczności i nadużycia prawdziwe lub zmyślone; ale te okoliczności już nie istnieją, nadużycia ustały i naprawione są przez sam Kościół — czemuż się doń nie przyłączyć? Zresztą, gdyby nikt nie był przyjął innej wiary, lecz pozostał był w wierze ojców, świat nie stałby się był chrześcijańskim; żylibyśmy dotąd w bałwochwalstwie.

Czyż to jest wszystko jedno: błąd, albo prawda raz poznana? Czyż nie raczej Luter i Kalwin porzucili dawną wiarę ojców i wielu innych za sobą pociągnęli — podczas kiedy ja do niej wracam? A my sami, czyż wyznajemy tę samą wiarę, co nasi rodzice? tę, której się nauczyliśmy w młodości? A nasze dzieci czyż odziedziczą tę samą wiarę?

Ach! jakaż straszna zmiana dokonała się między nami w przeciągu zaledwie trzydziestu lub czterdziestu lat? Niema już wspólnej wiary — każdy tworzy sobie religię na własną rękę, albo żadnej nie wyznaje religii; każdy tłumaczy sobie Biblię według swojej fantazyi, albo w nią nie wierzy wcale. Pastorowie nasi sami nie zgadzają się między sobą — i nie wiedzą już ani w co wierzą, ani czego mają nauczać! jeden twierdzi z rana to, co inny po południu zaprzecza — a spory te zaczynają gorszyć nawet świeckich ludzi, bo jeśli pasterze już nie znają drogi, jakże owieczki mają się powierzyć ich wodzy?

Aby nas pocieszyć, odważają się nawet mówić, że religia powinna się zmieniać i reformować nieustannie; w ten sposób ci, którzy mnie ganią, żem zmienił religię, sami ją codzień zmieniają. Wyznaję, że niepodobna mi jest żyć dłużej w takim bezrządzie, w którym nie widzę nic, jak tylko znamię błędu — a ani znaku stowarzyszenia religijnego.

Moje serce kochające czuje potrzebę trzymać się jakiejś rzeczy stałej — a tej nie znajduję, jak tylko w Kościele katolickim. On ma na sobie znamię niezmienności, wyciśnęte na wszystkich dziełach Stwórcy.

Lękacie się może niektórych dogmatów Kościoła katolickiego?

Moi przyjaciele! Każda religia ma swoje tajemnice; tajemnice konieczne są do upokorzenia naszej pychy, do utwierdzenia naszej wiary, aby podnieść naszą duszę aż do tego, co jest niepojęte, to jest do Bóstwa. Wszystko w naturze jest cudem; widzimy i czujemy skutki, a nie pojmujemy przyczyn.

Sam Bóg, twórca niewidzialny i prawodawca natury, którego tylko okiem wiary poznajemy i przez dzieła jego Wszechmocności — czyż nie jest największą tajemnicą?

Wiele dogmatów Kościoła protestackiego przewyższają tak samo nasz rozum, jak dogmata, o których sądzicie, że są wyłącznie katolckimi. Zresztą skoro się raz pozna boskość Kościoła katolickiego, to należy słuchać tych, o których Chrystus powiedział: „K t o w a s s ł u c h a m n i e s ł u c h a;“ a ja nie jestem tak dumny, abym sądził, że więcej wiem, jak tylu głęboko uczonych przez ośmnaście wieków wiedziało.

Skarżycie się wreszcie, że Kościół katolicki potępia was i twierdzi, że poza nim niema zbawienia. O, przyjaciele moi! jakże mało znacie nieograniczoną dobroć tej Matki, którą tak lekkomyślnie porzuciliśmy na nasze nieszczęście. Potępia ona tylko błędy wasze i fałszywe zasady od młodości wpojone — jak lekarz potępia tylko chorobę, nie zaś chorego. Ona was kocha, nazywa dziećmi, choć się jej zaparliście; zanosi za was modły u stóp swych ołtarzy; boleje nad stratą tylu tak ukochanych dziatek, oddanych na pastwę wilkom, tj. fałszywym doktrynom i pozbawionych tylu środków, do zbawienia prowadzących. Wszystkie sekty sprzysięgły się przeciw niej nie przez wspólną wiarę, ale przez nienawiść — i to właśnie utrwaliło przekonanie moje o jej prawdziwości, wszystkie błędy bowiem nie zgadzają się nawet między sobą, a na punkcie nienawidzenia prawdy, jednego są mniemania.

Jedyny Kościół katolicki odpłaca nienawiść miłością, obelgę dobrodziejstwem; czyni nawet dobrze nieprzyjaciołom swoim, pociesza nieszczęśliwych bez względu na ich wiarę i narodowość; tak samo prawdziwy katolik nikomu źle nie życzy. Co do mnie, doznałem od nich tylko dobrodziejstw — i niepodobna mi nienawidzić tych, którzy mnie kochają“.

* * *

List ten oburzył protestanów; złożyli go z urzędu, jaki piastował, lecz Haller doczekał się wkrótce tej pociechy, że i żona i wszystkie dzieci powróciły na łono prawdziwego Kościoła.

Czy mózg, a dusza — to jedno?

Często się słyszy takie wywody: „Bez mózgu niema myśli, mózg zatem jest w człowieku tem, co myśli, a więc — duszą“. Czy to prawda? — Słuszną jest uwaga, że „bez mózgu niema myśli“, ale wywód, jakoby duszę stanowił mózg, zgoła fałszywy! Nikt bowiem tak nie wywodzi: „bez atramentu i papieru — nie-

ma listu, a więc papier i atrament są listem", ani też: „bez instrumentów niema muzyki, a więc instrumenta są muzyką". Co innego jest bowiem atrament i papier — a co innego list, co innego są instrumenta — a co innego muzyka. Choć będzie papier i atrament, a nie będzie piszącego, to nie będzie i listu; choć będą instrumenta, a nie będzie muzyka, coby na nich zagrał — nie będzie i muzyki. Atrament i papier — bez pisarza, nigdy nie będzie listem, ale tylko atramentem i papierem; narzędzie muzyczne bez muzyka, będzie tylko martwem narzędziem, a nie muzyką. Tak samo mózg bez duszy, jest tylko mózgiem, a nie myślą; mózg bowiem jest narzędziem duszy i myśl wtedy tylko wyda, gdy dusza nim włada, jak pisarz piórem, albo muzyk instrumentem; gdy tego narzędzia duszy braknie, to ni słowem, ni innym znakiem myśli swej nie wypowie; ale też i największy muzyk bez instrumentu nie zagra, ani najmądrzejszy pisarz bez przyborów potrzebnych — słowa nie napisze.

Zresztą, gdyby mózg był duszą, toby ludzie o wielkim mózgu byli zawsze wielkimi mędrcami. Tymczasem tak nie jest. Ani wielkość, ani waga mózgu nie rozstrzyga nigdy o niczyjej mądrości. Naukowe badania jawnie wykazały, że żyli ludzie wielce uczeni, a zatem umysłowo bardzo wysoko stojący, których mózg stosunkowo bardzo mało ważył; i odwrotnie: byli ludzie o wielkim i ciężkim mózgu, którzy też bardzo „ciężko" myśleli.

Dla bliższego wyjaśnienia niechaj posłużą liczby o wadze mózgu niektórych sławnych mężów. Dla mieszkańca środkowej Europy podają uczeni, jako przeciętną wagę mózgu: 1372 gramy. Tę pośrednią wagę mózgi jednych przewyższały, innych zaś — do niej nie dostawały. I tak: mózg rosyjskiego poety Turgenjewa ważył 2020 gramów; francuskiego badacza przyrody Currier'a 1830 gramów; niemieckiego fizyka Helmholtza 1500, a matematyka Grussa 1490 gramów. To ponad średnią wagę. Tym uczonym nie ustępują jednak wielkością umysłu ci, co ciężkością wagi swego mózgu poniżej tej średniej stoją. I tak: filolog Hermann miał mózg o wadze 1358 gramów; niemiecki uczony Leibnitz 1257, a sławny teolog Dollinger 1207 gramów. Niktby się jednak nie ośmielił uważać tych na ostatku wymienionych mężów za głupców, lub umysłowo chorych, choć takie małe i lekkie mieli mózgi; tembardziej, że zbadano u wielu prostych i ciemnych osobników, iż ciężar ich mózgów wynosił 1650 a nawet 1952 gramy. Ni wielkość, ni waga mózgu nie rozstrzyga przeto o wielkości umysłu; o tej bowiem stanowi dusza.

To też słusznie miał jeden uczony, zażywający w świecie szerokiej sławy, iż zastrzegł sobie w testamencie, aby po śmierci jego mózgu nie ważono; wówczas bowiem waga mózgu rozstrzygała u różnych zaślepieńców o wartości umysłu danego osobnika; obawiał się więc ten uczony, by na mocy wagi jego mózgu, nie odarto go po śmierci ze sławy, a jego mozolnych badań naukowych w kąt nie zarzucono.

Inni znów twierdzą, że składniki mózgu wytwarzają myśl; jeden zaś taki „uczony" ogłosił światu, że myśl w mózgu człowieka wytwarza fosfor. Ktoś inny natomiast wykazał, że jest dwoje zwierząt, które w swym mózgu mają daleko więcej fosforu, aniżeli człowiek: a niemi są: owca i gęś. Znana zaś jest przysłowiowa „mądrość" tych zwierząt. Kiepsko więc utrafił ów „uczony", gdy gęś i owca miałyby być, wedle jego wywodów, od niego samego mądrzejsze.

Są i tacy, co prawią jeszcze, iż myśl jest „wydzieliną" mózgu. Strasznie plugawe nazwanie; ale takim wszystko uchodzi, boć oni „w imię nauki" to głoszą. Mniejsza zresztą o nazwę. Jeśli, wedle wielu, myśl jest wydzieliną mózgu — to myśl możnaby zmierzyć i zważyć; mózg bowiem jest materyą, a więc i to, co się z niego wydziela, materyą być musi. Każda zaś materya ma pewne właściwości: ma pewną rozciągłość i właściwy sobie kształt; jest krótka lub długa, okrągła lub kończasta, gładka albo chropata, ciężka lub lekka i t. d. Kto więc może, niech sobie, wedle owej nauki, wyobrazi myśl, mającą osiem łokci długości, trzy łokcie szerokości, pięć łokci wysokości, 50 kilogramów wagi, a przytem kończastą i chropatą. Do tego wiodą owe „uczone" wywody, które my przez grzeczność, nie „wydzielinami", ale „wypocinami" mózgowemi różnych mędrków nazwijmy.

Uparci w twierdzeniu, iż myśl jest wydzieliną mózgu, sądzą niektórzy, że jakość myśli zawisłą jest od jakości mózgu. Ponieważ zaś mózg, jak i całe ciało urasta z przyjmowanego pokarmu, sądzą przeto, że od jakości pożywienia zawisła wartość myśli człowieka. Jeden taki uczony K. Vogt na pewno twierdził, iż ludzie dojdą kiedyś do tego, iż co innego jeść będą lekarze, co innego inżynierzy, co innego prawnicy i t. d. Jakość bowiem pożywienia wytwarzać w ich mózgach będzie odpowiednie myśli. Szkoła i wszelka nauka będzie zatem niepotrzebną. Powyrzuca się i spali wszystkie książki i dzieła uczonych. Jedne tylko książki będą miały wartość — a to: książki kucharskie z odpowiedniemi działami, jak n. p.: kuchnia prawników, kuchnia lekarzy, kuchnia chemików i t. p. — Wcale ponętne, jeno, że głupie.

Na jednotę duszy i mózgu naprowadzają wielu choroby umysłowe. Choroba umysłowa bowiem jest równocześnie zakłóceniem życia duchowego człowieka. Z tego nie wynika jednak bynajmniej, aby mózg i dusza były jedno. — Mózg jest narzędziem duszy. Gdy narzędzie zepsute, to i najwprawniejszą ręka nic nie poradzi. Na źle nastrojonych, albo

rozbitych skrzypcach i najlepszy muzyk nie zagra. Gdy więc mózg jest chory, czyli, gdy to narzędzie duszy jest zepsute, to i najoświeceńszy umysł nic mądrego ze siebie nazewnątrz nie wyda. Choroba mózgu nie jest więc chorobą umysłu, czy duszy; dusza jest co innego, a mózg co innego. Stąd też niewłaściwą jest nazwa: „choroba umysłowa"; trzebaby to raczej nazwać: „chorobą mózgu".

Próżne więc są wysiłki tych, coby człowieka radzi wyzuć z jego duchowości, a jego myśli i siłę woli „wydzielinom" mózgu przypisać. Zresztą prawdziwa nauka już się dawno z takimi mędrkami uporała. Jednakowoż tu i ówdzie słyszy się i dziś jeszcze takie głosy, że „dusza to para", a to, co w człowieku myśli, to różne przetwory mózgowe. I znamienną jest rzeczą, że przestarzałe gadki powtarzają osobniki o bardzo lichej wartości umysłowej i moralnej. Snać chcą swe brednie i łajdactwa uniewinnić, a przypisać je kiepskiemu materyałowi mózgu. Nie oni, lecz ten fosfor w mózgu wszystkiemu winien. Musiał im zapewne stęchnąć tam, pod czaszką.

Wyzwoleni.

Sprzymierzone wojska austryacko-niemieckie przeszły w zwycięskim pochodzie ziemię chełmską, prąc przed sobą wroga hen, na północ, ku jego rodzimym dziedzinom. Chełmszczyzna odetchnęła. Czuje się „wyzwoloną". Zaiste, nie gdzieindziej z taką słusznością owego „wyzwolenia" przyznać nie można, jak w owej, odwiecznie katolickiej i polskiej krainie: „ziemi chełmskiej".

Wojujące prawosławie — posługujące się w swem apostolstwie gwałtem i zbrodnią — od dawna parło na ten kątek, w którym, dzięki jego przynależności do ziem Królestwa Polskiego, najdłużej się ostali Unici. Katolicy, greckiego obrządku, podobnie, jak galicyjscy Rusini, byli chełmscy Unici długo solą w oku prawosławnej Rosyi. Dla podobieństwa obrządku ściągano ich gwałtem na prawosławie. Niedawne to dzieje, gdy się słyszało o strasznych męczeństwach Unitów w Krożach, Pratulinie i indziej. Łzy, jęki, rozpacz, najokropniejsze męki, strumienie krwi męczeńskiej wiernych zawsze katolickiemu Kościołowi Unitów wiążą się z historyą Chełmszczyzny i jako krwawe znamię pozostaną na zawsze wyryte na ciele poszarpanej rzeczypospolitej polskiej.

Męczono ich, jak męczono pierwszych chrześcijan, a oni w świętej wierze niewzruszenie trwali. I jak owi pierwsi chrześcijanie w podziemiach Rzymu szukali schronienia przed okiem prześladowczego rządu, tak i oni, Unici, czynili. Chyłkiem, nocą, wśród zawieruchy, przez bagna i gąszcze leśne skradali się ku galicyjskiej granicy... po „śluby krakowskie" i chrzest niemowląt. Nim pop prawosławny wraże swe obowiązki nad nimi sprawił, oni już byli przed Bogiem przez katolickiego kapłana związani i uświęceni. Bywało, że ciągano za to na Sybir, zamykano w więzieniu, a ten i ów pod razami nahajki i ducha wyzionął. Nic to! Oni w świętej wierze trwali.

Tak się działo lata i lata. Nie pomogło ni „wyodrębnienie Chełmszczyzny", ów „czwarty rozbiór Polski", kiedy to z części siedleckiego i lubelskiego stworzono nową „gubernię chełmską", po to jedynie, by tę ziemię pozbyć wszelakiej łączności z Królestwem Polskiem, a natomiast połączyć ją z rdzenną Rosyą i módz tem skuteczniej gładzić tam katolicką unię i polskość, a krzewić prawosławie i rusycyzm. Nie na wiele i to się zdało. Lud trwał w świętej wierze, po „krakowskie" chrzty i śluby po dawnemu chodził — i czekał.

Czekał i doczekał się dnia wyzwolenia. Niezbadane są wyroki Boże i nieznane losy wojny. Zawodne w niej nadzieje... Chełmski lud jednak już dziś radością wyzwolenia dysze. Pękł dla niego ów graniczny mur chiński. Dziś po pociechę religijną już im się chyłkiem skradać nie trzeba. Odetchnęli. Modły, które uderzą o strop nieba z piersi tych męczenników, będą miały moc dzwonów, bijących tryumfalnie w dzień zmartwychwstania Pańskiego. Daj Boże, by te głośne ich modły już nigdy nie przycichły.

Wydawca: Ks. Karol Nikiel. Odpowiedzialny redaktor: Karol Holeks.

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.